

## Tadeusz Boy-Żeleński: Setny tom biblioteki Boya

Blisko pięćdziesiąt tomów musiałem sam wydać w epokach gdy z nikim nie można było gadać o książce. Toteż robiłem co mogłem, aby uczynić dokoła nich jakiś ruch, wskutek czego do dziś jeszcze uchodzę za „reklamistę”. Ale co to było, w najciemniejszym okresie wojny, wszystkich jej utrapień i braków, kazać ludziom przeczytać kilkadziesiąt tomów arcydzieł!

— Setny tom *Biblioteki Boya*? Już?

— Jak to już? — odparł, wzruszając ramionami, Boy, jak zawsze na wpół kpiarski, na wpół opętany jakąś myślą. — Chyba dopiero! Leżał gotowy w tece od dawna, ale nie miałem czasu się nim zająć. Tyle się awanturowałem w ostatnim roku...

— Nic dziwnego, że w tych warunkach zapomniał pan nieco o przekładach...

— Tak. W ostatnim czasie coraz więcej sprzeniewierzałem się tej pracy. Ale nie odrzekam się jej bynajmniej. To jest znakomite schronienie na chwile odpływu, neurastenii, to działa wprost leczniczo. No i co za miła asekuracja na przyszłość, co za uczucie bezpieczeństwa: mieć w

zanadru rodzaj pracy literackiej, który można uprawiać nawet będąc już zupełnym ramolem. Cóż za gwarancja honorowej starości, iluż pisarzom oszczędziłaby ona przykrego schyłku! Co prawda pisarze nieraz w czym innym znajdują ratunek: rzucają się w ramiona polityce, partii; wówczas mają rękojmię, że choćby pisali brednie, znajdą laurów i uznania do sytości. Polityka żyruje wszystko.

**Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.**

**Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.**

— Słyszą, że powstało nowe wydawnictwo, które podjęło wskrzeszenie *Biblioteki Boya*?

— Tak. Urzeczywistnienie tego, co od dawna było moim marzeniem, mianowicie ujednostajnienie mojej *Biblioteki*, wydanie jej na dobrym papierze, w jednym formacie, w tekście starannie przeze mnie zrewidowanym. Że to było moim pragnieniem, zrozumie pan, jeśli pan sobie uprzytomni warunki, w jakich ta *Biblioteka* powstała.

— Warunki?

— No tak. Zacząłem ją wówczas, gdy wyrabiano chleb z trocin, a ubrania z papieru, więc go już nie bardzo starczyło na książki. Mimo że przedtem wyszło już nieco moich przekładów, — Molier, Rabelais, — nagłówek *Biblioteka Boya* pojawił się pierwszy raz w r. 1916, w Krakowie, na pięciotomowym wydaniu Montaigne'a.

— I znalazł pan wówczas wydawcę?

— Wydawcę? Właśnie! Sam wydałem. I nie tylko to jedno. Blisko pięćdziesiąt tomów musiałem sam wydać w epokach gdy z nikim nie można było gadać o książce. Toteż robiłem co mogłem, aby uczynić dokoła nich jakiś ruch, wskutek czego do dziś jeszcze uchodzę za „reklamistę”. Ale co to było, w najciemniejszym okresie wojny, wszystkich jej utrapień i braków, kazać ludziom przeczytać kilkadziesiąt tomów arcydzieł!

— A księgarze?

— Och, księgarze! Jeżelibym opisał kiedy moje doświadczenia, byłoby to smętnym dokumentem dla naszego księgarstwa. Gdybym się był oglądał na księgarzy, nie zrobiłbym absolutnie nic, nie ruszyłbym z miejsca. Później dopiero, kiedy moja *Biblioteka* utorowała sobie drogę, zacząłem znajdować wydawców, ale i to rwało się ciągle. Żaden z nich nie miał dość tchu, aby konsekwentnie poprowadzić rzecz zaczęta na tak szeroką skalę.

— Więc nikogo?

— Prawda, był w Krakowie początkujący księgarz, z którym pracowałem trochę; podobała mi się jego ruchliwość i śmiałość. Ten miał jedną słabość: lubił ponętne tytuły i na nich budował powodzenie książki. Nieraz namawiał mnie, abym któremuś z głośnych utworów dał inny, pikantniejszy tytuł. Daremnie tłumaczyłem mu, że to byłoby tak jakby

ktoś zmienił tytuł np. *Pan Tadeusz* na *Kluczyk pani Telimeny*, albo coś podobnego. Przekonał mnie zresztą na przykładzie, że handlowo miał słuszność. Kiedy komedie Marivaux — pod skromnym tytułem *Komedie* — okazały się chwilowo zbyt ciężkie w sprzedaży, mój księgarz zmienił okładkę na obu tomach, drukując na jednym, od tytułu pierwszej z komedii, *Zebranie amatorów*, a na drugim *Pułapka miłości*. I poszły jak woda! Chciał tak samo „rozparcelować” pięć tomów Rabelego i dać im soczyste tytuły, ale się nie zgodziłem...

— Musiał pan jednak mieć wielkie trudności, choćby z drukiem?

— Oczywiście, ciągle był brak czegoś, trzeba było wydawać jak się dało, stąd każda książka w innym formacie, na innym papierze, często złą farbą, niektóre wprost haniebne.

— Bądź co bądź, rozwinął pan niepospolitą energię handlową...

— Tylko z konieczności. Ideałem moim jest pracować w swoim pokoju i nie wiedzieć nic o stronie technicznej. Ileż ja czasu na to straciłem! Ale cóż miałem robić, gdy na moje propozycje wydawcy otwierali szeroko oczy. Wszak o dawnej literaturze francuskiej ogół tyle u nas wiedział co o japońskiej! Aby wydać Montaigne’a, zadłużyłem się na kilkanaście tysięcy koron (w złocie!). Dziesięć komedij Marivaux udało mi się sprzedać księgarzowi za łączną sumę 500 koron (już w gorszym złocie), ale musiałem mu dodać lampę wiszącą i piecyk żelazny (przeprowadzałem się właśnie), aby go skłonić do dobicia interesu. To był czas wojenny! Kartezjusza wpakowałem publiczności dzięki znanej opasce „tylko dla dorosłych”, której historia obiegra już, dosłownie,

kulę ziemską. *Kawalerskie gospodarstwo* Balzaka kupowały wdowy, które miały na kwaterze i wikcie wojskowych (było to w czasie największych kłopotów aprowizacyjnych), myśląc, że to jest rodzaj książki kucharskiej.

— A pomoc ze strony instytucji naukowych?

— Och! Raz jeden, nie widząc nadziei wydania pięciu tomów Montaigne'a którego uparłem się ujrzeć po polsku, udałem się do generalnego sekretarza krakowskiej Akademii Umiejętności, a zarazem dyrektora drukarni uniwersyteckiej, aby mi udzielił w tej drukarni jakiegoś kredytu. Odmówił wręcz, nie szczędząc mi zresztą komplementów co do mojej pracy, ale oświadczył, że jest nieaktualna, na długie lata nieaktualna. W zamian udzielił mi rady: mianowicie abym pisał opowiadki wojenne (mogą być i pieprzne, dodał, klepiąc mnie po brzuchu), a wtedy (powiadał) znajdę łatwo wydawcę... Taką radę dostałem od przedstawiciela Akademii Umiejętności, i to był jedyny objaw zainteresowania się owej czcigodnej instytucji moim wysiłkiem, który się odbywał tuż pod jej bokiem...

— Mimo to dał pan sobie radę?

— Ba, radziłem sobie jak mogłem; w potrzebie wygrywałem niezawodne atuty tłumacza *Pań swawolnych* i autora *Słówek*. Przeplatałem umiejętnie powagę płochością: przez *Listy perskie* torowałem drogę dla *Ducha praw* (tak samo zresztą jak uczynił wielki ich autor). *Noc i chwila* Crébillona poprzedziła *Myśli* Pascala. Czytelnik, wciąż utrzymywany w niepokoju, wciąż łechtany moją

dwuznaczną reputacją, brał wszystko, wszędzie spodziewając się pikanterii. Rozprawę o metodzie widział mój znajomy w szufladzie u panny bufetowej razem z *Kultem ciała*. Czytała cierpliwie, aby się dowiedzieć wreszcie, co to za metodę ten osławiony Boy zaleca... Stąd moja podwójna reputacja, która towarzyszy mi zresztą do dziś: z jednej strony witano mnie jako „wychowawcę“, z drugiej odżegnywano się ode mnie jako od demoralizatora!

— Które z pańskich wydawnictw było najpoczytniejsze?

— *Tristan i Izolda*, obok *Pań swawolnych* oczywiście. Potem *Spowiedź dziecięcia wieku* Musseta, *Manon Lescaut*, *Listy panny de Lespinasse*, słowem książki apelujące przede wszystkim do serca kobiet. Ale *Tristan* ze swą *Izoldą* pobili wszystkie rekordy: stary rekin książkowy z ulicy Świętokrzyskiej, p. Jakób Przeworski, ojciec czworga dorosłych dzieci, płakał nad tą książką...

— A jaki był stosunek krytyki?

— Wówczas idylliczny! Jeżeli mogłem osiągnąć mój cel, to w znacznej mierze dzięki niepodzielnemu prawie poparciu prasy. Byłem wówczas tak na uboczu, w moim mundurze wojskowego lekarza tak nie zawadzałem nikomu! Należało do dobrego tonu popierać mnie. Nic zresztą nie pojawiało się wówczas na rynku księgarskim, nie było o czym pisać, chwytano tedy z radością sposobność, każdy tom moich wydawnictw omawiano w wielkich felietonach. Specjalną życzliwością otaczali w początkach moją *Bibliotekę* Ludwik Szczepański, Zdzisław Dębicki, profesorowie Sinko, Szykowski i Jachimecki, Czesław

Jankowski, W. Fallek... Wacław Borowy przede wszystkim, który napisał całą książkę pt. *Boy jako tłumacz*. Ale i inni. Klerykalny „Głos Narodu”, który obecnie ściga mnie jako „masona”, a wielkich pisarzy francuskich w czambuł zwie „brudną literaturą”, witał pochwalnie wydanie *Powiastek* Woltera! K. H. Rostworowski mienił mnie „wielkim poetą” po *Świętoszku*... Pan Nowaczyński pisał, że „Boy sam jeden zrobił dla zbliżenia Francji z Polską tyle co cały paryski Komitet Narodowy”. Potem się to zmieniło potrosze: obecnie jestem w połowie przynajmniej dzienników na czarnej liście, wraz z biednymi francuskimi geniuszami. Ale wówczas! Koroną było to, że „*Krakauer Zeitung*”, organ komendy twierdzy w Krakowie (oczywiście wychodzący po niemiecku), zamieścił felieton pt. *Boy*, sławiąc moje zasługi w — propagandzie kultury francuskiej. To było w pełnej wojnie, gdy w Berlinie Niemcy wykreślali z karty restauracyjnej wszystko co trąciło Francją i z patriotyzmu majonez przechrzcili na „Oeltunke”. Poczciwa Austria!

— Słowem, sielanka!

— Tak, sielanka. Był to okres, w którym, opanowawszy rynek i dusze, osiągnąłem wreszcie to, że mogłem prowadzić za sobą czytelników wszędzie gdzie mi przyszła ochota. Wałęsałem się też z rozkoszą po literaturze pięciu wieków, od Villona do Verlaine’a. Wówczas to poznałem w całej pełni rozkosze tłumacza, ową „rozpusztę stylów”, o której zwierzenia moje znalazły tak sympatyczny oddźwięk, gdym o niej opowiadał zebranym w amfiteatrze Sorbony matadorom francuskiej krytyki. Dzięki tej pracy przebyłem koszmar wojny jak we śnie. I oto zupełnie paradoksalne zjawisko: jedynie dzięki owym warunkom chwili udało się wytworzyć stan masowej konsumpcji arcydzieł. Prawie nic, jak wspomniałem, wówczas innego nie

wychodziło, ja zaś wydawałem dziesięć do dwunastu tomów na rok; nic więc dziwnego, że witryny księgarskie były wypełnione *Biblioteką Boya*, a publiczność nawykła czekać nowego tomu z niecierpliwością. To był jeden z najoryginalniejszych kursów „klasycznego” wykształcenia. Będąc we Francji, śmiało mogłem powiedzieć Francuzom, że Montaigne lub Rabelais są potoczniej czytani w Polsce niż we Francji, gdzie ich oddziela od czytelnika najeżona trudnościami stara francuszczyzna. U nas Montaigne’a czytano w rowach strzeleckich. Dla wielu literatów polskich literatura ta była rewelacją, zwłaszcza Rabelais, który na przykład stał się, m. in. ulubioną lekturą Reymonta.

— Czy, wznawiając *Bibliotekę Boya*, czyni pan jakie zmiany w tekście?

— Ogromne! Mimo że krytyka była na mnie jak na tłumacza tak łaskawa, ja nie zawsze byłem z siebie zadowolony. Pracowałem w strasznym pośpiechu, pędziła mnie jakaś gorączka, aby wypełnić te wiekowe luki, jakie mieliśmy w naszym stanie duchowego posiadania wielkich pisarzy francuskich. Bo większość tych nazwisk była u nas zupełnie obca, większość tych utworów pojawiała się w Polsce po raz pierwszy. Kiedy zacząłem je wydawać, z wielkiej literatury francuskiej nie istniało w handlu księgarskim po polsku — można powiedzieć — nic. Dlatego śpieszyłem się bardzo: takie zresztą mam usposobienie, że raczej pracuję gorączkową niecierpliwością niż skrzętną pilnością. Przez całą wojnę pracowałem zresztą w fatalnych warunkach, w czasie dyżurów, chowając papiery na odgłos kroków zwierzchnika, z terczącym wciąż dzwonkiem telefonu nad głową. Dlatego też czułem potrzebę gruntownej rewizji tekstu; nowe wydanie będzie przeważnie bardzo różne od dawnego, poprawione, ulepszone, staranne. W niektórych

tomach ani jednego zdania nie zostawiłem tak jak było. Dlatego bardzo bym pragnął, aby w rękach moich sympatyków i czytelników to zbiorowe wydanie zajęło miejsce dawnych tomów.

— I liczy pan na powodzenie?

— Oczywiście! Tyłu mam wśród publiczności przyjaciół i tyle spotykało mnie nieraz tej przyjaźni dowodów, iż, kiedy powiem moim czytelnikom, że zależy mi na tym, aby pojedyncze błakające się na półkach tomiki oddali ubogim dzieciom stróża, a sami zaabonowali się na całość *Biblioteki*, nie wątpię ani chwili, że to uczynią z przyjemnością dla mnie, a z pożytkiem dla siebie. Będą mieli z czasem rząd książek ładnie wydanych, wykwintnie oprawnych, w jednostajnym formacie, a nic bardziej nie drażni amatora książki, niż tego rodzaju dziadowski wygląd, jaki przedstawiała dotąd *Biblioteka Boya*. Będzie to, w polskiej mowie, ekstrakt myśli pięciu wieków: w tym mała szafeczka z napisem *Trucizny*; — jak w aptece. Bo w literaturze, jak w medycynie, trucizny bywają najdzielniejszym środkiem leczniczym...

*Tadeusz Boy-Żeleński*



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

Dofinansowano  
ze środków Ministra  
Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego